



MKD 91485

PROMIEŃ SZKOLNY

DWUTYGODNIK
WYDAWANY
PRZEZ UCZNIÓW
GIMNAZJUM
T. CZACKIEGO.

Nr 7.

10 czerwca 1938 r.

Rok VII.



Fragment parku.

Nasz karabin maszynowy.

W głębi lufy śmierć się kryje,

A na lufie błysk stalowy.

Każde serce dumą bije:

„Nasz karabin maszynowy”!

Dziś zamarty, więc spokojny

Śmierci sługa, zła narzędzie,

Lecz ożyje w czasie wojny

I obroną życia będzie.

Dziś zamarty, dziś on drzemie

Lecz gdy ze snu się obudzi,

To zaścienie wokół ziemię

Setki wrogów — setki ludzi...

Dzisiaj blaskiem wzrok olśniewa,

Ale kiedy zagra głośno,

To na wrogach aż wyśpiewa

Swą symfonię śmiercionośną.

Na okopach takt wybije,

Bryżnie kulą koło głowy,

Jeszcze sławą się okryje

Nasz karabin maszynowy.

Może który z tego grona,

Kiedy w wojsku służyć będzie

Własnoręcznie się przekona,

Jak tam „kropi” to narzędzie.

Może szepnie powitanie,

I rozjaśni wzrok marsowy,

Gdy przypomni dawne zdanie:

„Nasz karabin maszynowy”!

Może zechcą go wrogowie,

W czasie szturmów zająć w okopie,

To z żołnierską im odpowie:

„O! maszynka!.. Nie źle kropię”...

A gdy atak w tył zawróci,

To pod kuli świst bojowy,

Żołnierz niby pieśń zanuci:

„Nasz karabin maszynowy”!..

Karabinu przyszłe dzieje,

Kto odgadnie, kto wyróży?

Jedna pewność nam jaśniej,

Że Ojczyźnie się przysłuży.

Więc też jedno dziś zadanie,

Wspólna myśl zaprzęta głowy:

„Niech najprędzej już powstanie

Nasz karabin maszynowy”!..

A. Trzebiński kl. IV-a.

Wywiad

ze specjalnym wystannikiem «Promienia Szkolnego» do Rzymu.

Po swojej wielkanocnej eskapadzie nasz podróżnik ma mało czasu. Uzyskanie więc choć małej godzinki widzenia jest dla nas cenną zdobyczą

Nie chciałem mistrzowi zabierać dużo czasu, niepotrzebnie męczyć go i być natrętnym. Gwałtownie odtrącony, chciałem na Rzym spojrzeć chociaż z pewnego oddalenia, dyskretnie, o tak «przez dziurkę od klucza», (która jest teraz tak modna). Był to jedyny sposób wywabienia mistrza z domu, gdzie oblegany przez grono znajomych zajmował się opiewaniem rzymskich historii.

Spotkaliśmy się więc w tej «dziurce» koło Kopernika przed wieczorem. Ujrzałem naszego Rzymianina w głębi przy stoliku, popijającego vermouth (gdzie, u licha, nabrał tego przyzwyczajenia!). Było to niedługo po powrocie. Był zdrow, wypoczęty i wesoły.

Czołem Jerzy! (Widzieliśmy się po przyjeździe po raz pierwszy). W bez troskiej atmosferze kawiarni zapomnieliśmy o wywiadzie...

Wreszcie urzędowym tonem i z odpowiednią postawą przystąpiłem do rzeczy: — Moje uszanowanie szanownemu Mistrzowi! Czy nie zechciałby Pan podać mi pokrótce swe ogólne wrażenie z odbytej pielgrzymki i swe pierwsze wrażenia w krótkim charakterystycznym obrazku».

Hm... Hm... (Słuchaj Władek, ty tego jeszcze nie pisz. Później będzie urzędowa odpowiedź... Widzisz jestem nieprzyzwyczajony do wywiadów... i ta niezwykłość sytuacji... to zderzanie...).

— No więc było naturalnie bardzo przyjemnie... chodzi o pierwsze wrażenie... emocjonujący był przejazd przez granicę w Zebrzydowicach w związku z rewizją... no poza tym Alpy... tuż za Wiedniem Sömmering i te góry w koło!.. Zamarzłe szyby... w wagonach gorąco okropnie. Poza tym towarzysze podróży weseli goście, trzech z liceum w Gdyni, dwu z gimnazjum ze Lwowa — w Rzymie szaleli za pałacem Lukrecji Borgia i za winem... Jeżeli chodzi o ogólne wrażenie, to przede wszystkim oczarował mnie swą wspaniałością Rzym — te starożytności — świątynie, pałace, ruiny, oraz uroczystości kanonizacyjne, (których, przyznam Ci się dyskretnie, prawie nie widziałem... mimo najlepszych chęci). W bazylice i na placu były tak ogromne tłumy, że zawczasu ustawiono posterunki sanitarne. O dokładniejszym zobaczeniu i usłyszeniu czegokolwiek

nie mogło być mowy — wszystko przygłuszał gwarny, wielojęzyczny tłum.

Co jeszcze uczyniło na Panu specjalne wrażenie?

Kuchnia włoska jest bardzo dobra... ale chwilami nie bardzo. Do obiadu (w Ospizium Tata Giovanni) dawano wino, a na deser serki «Formaggi parmigiano» na zaostwienie apetytu, dużo jarzyn i owoców — «dell'insalata con olio» (tylko zawsze za dużo tego «olio»), «spinaci» (niestety zbyt grubo posiekany), «arancie», «fichi», «fragole», z innych dań «maccheroni al sugo», lub specjalny «Vermicelli», który jest niestety za długi. Prawdziwa tragedia była dopiero z mięsem — nie wiadomo nigdy, co to właściwie jest — wyschnięte, pokręcone, czerwone, oblepione i wszystko jedno, czy takie coś nosi szumną nazwę w rodzaju «Vitello arrosto», czy «Una Braciola di montone», lub «Una bistecca all' inglese» — smak jest zawsze dziwnie podobny.

Lecz co osobliwego konsumował Pan w Rzymie?

Naturalnie «beranda» (napoje), we wszystkich możliwych postaciach i miejscach — w licznych winiarniach i osteriach, jak «Ostini» — Piazza Colonna, «Jacobini» — Piazza di Petro, «Santovetti» via del Quirinale — różne vermouth'y, i wino «nero» i «bianco», «Chianti», oraz wspaniałe prawdziwe włoskie lody w cukierni na Piazza Colonna — które rzeczywiście uderzyły mię smakiem i oryginalnością przyrządzenia, pomijając inne właściwe lodom zalety. Były tam wszystkie smaki w jednej porcji — misternie ułożone w wielobarwne warstewki, jak w torcie, lecz tworzące kulę. Miła była ta niepewność oczekiwania, jaka to będzie nowa warstwa po skonsumowaniu poprzedniej... Dobrze również oranżady! Tylko raz pamiętam dano mi za mało zimną i za długo przygotowywaną.

Na ogół w Rzymie w sprawach żywnościowych kłopotu nie miałem — sprawa przedstawiała się dobrze — miałem zresztą niewyczerpane kredyty u Babci, która właśnie w Rzymie gościła — gorzej rzecz się miała w drodze, gdy towarzysze zjedli mi wszystkie czekolady (zdradzam tajemnicę, że było ich coś ponad pół tuzina) i mocno nadwyrężyli pozostałe zapasy.

— Po tych wzniosłych sprawach kulinarnych może zeszlibyśmy na zagadnienie bardziej ziemskie i powszednie?...

— A mianowicie? Nie rozumiem, o co może Panu chodzić?...

— O ucztę bardziej duchową... Wrażenia estetyczne...

— Jednym słowem te tam zwiedzanie. Dobrze. Naprzykład Katakumby św. Agnieszki... krążyliśmy po nich... — gdzie niegdzie błędne ogniki... gdzie niegdzie, tak wiesz, czaszki («tylko Władek, żebyś to ubrał w odpowiednią «szatę słowną»... — «nie bój się, przecież to będzie opisane urzędowo i poważnie»).

Delektował się Pan pewnie zwiedzaniem całymi dniami?

— Gdzie tam — winiarnie, lody i poczta odbierały mi za dużo czasu. Musiałem zaspakajać głód filatelistyczny mych licznych znajomych — a na wszystkich pocztach taki tłok, ścisk. Na tyle przeszkód natrafiały moje dobre chęci.

— Może zechciałby Pan coś jeszcze powiedzieć o samym Rzymie — o rzeczach istotnych?

— Istotnymi są teraz moje przeżycia i moje wrażenia. Inne rzeczy są powszechnie znane, wiadome, opisane — znajdzie je Pan w każdym przewodniku i w prasie. Więc nie widzę potrzeby je poruszać. Dość już, doprawdy mam tych opisów suchych i do obrzydliwości chwilami stereotypowych — dość opisu wyglądu poszczególnych budowli — banałów oklepanych, mądrych uwag i określeń... Cały Rzym, jako taki, stanowi odrębną całość i ma swój niewątpliwy, jedyny charakter. Nie sposób tu mówić o szczegółach. Szczegóły zatracają się i rozpluwają — stapiają w aliaz jednolity — cudowny i jedyny. Z zamętu i powodzi nazw, obrazów wzrokowych i doznanych wrażeń powstaje całość. Ona czyni to, że nie rażą nas ruiny obok nowoczesnych gmachów — przeciwnie dziwią i oczarowują. — Miałem w Rzymie swoje punkty zaczepne i jak gdyby orientacyjne, dobrze znane, jakby bliskie i symboliczne — fontanna Trevi, «oko Rzymu» na Awentynie, Pincio, — «sklep pielgrzymów» na Piazza Termini. Ciekawiła mnie włoska ulica, osobiwie jej odrębny charakter. —

— A co powiedziałyby Pan o samych Włochach jako takich?

— Weseli, mili, gościnni,... bruneci... Interesowano się wybitnie na ulicach i w tramwajach moją szkolną tarczą.

— A ich ustosunkowanie się do przyjazdu Hitlera?

— Raczej obojętne. Może więcej cieszy ich możliwość ukazania swego przepychu i bogactwa, możliwość zaimponowania przyjęciem «jakiego Italia jeszcze nie widziała» — oczarowania wizją starożytnego Rzymu, która miała być widowiskiem zaćmiewającym najśmielszą fantazję. Publiczność rzymska lubuje się w wielkich widowiskach. Z radością widzi wznoszone dekoracje — bramy triumfalne, łuki, wieże i pylony — inaczej patrzy na liczne posąжки, wyobrażające pruskiego orła... Co do innych cech rzymskiego ludu — to dorożkarze w niczym nie różnią się od naszych. Umów się za trzy liry, a po przebyciu kursu wręcz nieopatrznie monetę dziesięciolirową! Reszty z pewnością nie ujrzysz! Zaczyna bestia konia i znika. Doświadczyłem tego nieomal na własnej skórze.

— Czy pielgrzymi zwiedzali inne miejscowości poza Rzymem?

— Wenecję, Padwę, Wiedeń. Mielśmy niestety mało czasu. Najlepszymi i trwałymi, namacalnymi dowodami pobytu w Wenecji pozostały nabyte przez nas zegarki po 45 lirów. Wiedeń witał i żegnał nas na dworcu dźwiękami straussowskiego walczyka. Pamiętam też tańce pielgrzymów na peronie. Po okropnie nieprzespanej nocy autokarami na Kahlenberg. Miasto we mgle — widać tylko gdzie niegdzie powiewające «chorągwie proroka».

— A może podałyby Pan nieco ciekawych szczegółów z samej podróży?

— Z przyjemnością. Te chwile pełne swoistego wdzięku i chwilami humorystycznego posmaku pamiętam doskonale. A więc obsadę naszego pociągu stanowili księża, akademicy i akademicki, młodzieź, oraz trochę towarzystwa mieszanego niewiadomego pochodzenia i przynależności klasowej. Ci właśnie robili wyłom i wyraźnie wyodrębniali się od zgranej bandy reszty towarzystwa. Były to jakieś grubasy — prowincjonały — poważne indywidua, zgorzkniałe i nadęte — wieczni cierpielnicy, o bolączkach życia doczesnego myślący, gdy wokół roztaczał się taki szeroki świat! Ciągłe miałem przed oczyma dwa takie okazy, mówiące przez całą drogę o jakichś sprawach, związanych z masłem. Jak już nadmieniałem, pozostała część towarzystwa całkowicie różniła się od poprzedniej. Wprowadzało to drobne nieporozumienia i starcia, komiczne zajścia i sytuacje, o czym wspomnę we właściwym czasie. Oczywiście trzon stanowiliśmy my — najmłodsza młodzież. Było tego kilkanaście sztuk, zgrupowanych razem i idiotycznie wesółych. Ci moi koledzy wyprawiali w pociągu niemożliwe hałasy — krzyczeli, śpiewali, pukali do sąsiednich przedziałów. Wszystko było jednak utrzymane we właściwym tonie. Cały nasz wagon był muzykalny, choć nie zawsze to mu uchodziło na sucho. Gdy jakiś młody kleryk zaśpiewał jakąś lekką piosenkę, nie licującą z przynależną mu powagą (prostu «Leci pies przez owies»), pewna, przechodząca korytarzem pulchna babina, aż przystanęła oburzona: «Takie piosenki i ksiądz śpiewa — nic dziwnego, że zgorzenie szerzy się po świecie!» —

Towarzystwo było zgrane i solidarnie trzymało się razem w perypetiach celnych. Już na wstępie na dworcu w Katowicach, gdzie pielgrzymka została zainaugurowana — pielgrzymi zostali do głębi poruszeni i wstrząśnięci straszną wieścią — że zabroniony jest przewóz 5 zł na jedzenie w pociągu. Cóż dopiero było przed rewizją? Na myśl o niej wszystkich ogarniała panika. Jeszcze gorzej było podczas powrotu. Koledzy gdyńszczanie kupili hurmem w Wiedniu zapalniczki, co kosztowało ich nie tylko pożyczone ode mnie pieniądze, lecz również dużo nerwów i kilkugodzinne życie w popłochu. Gorączkowo szukali miejsca, gdzie by pożądane przedmioty można

było ukryć — pod ławkami, na półkach. Wreszcie, gdy weszli celnicy, jeden załamał się psychicznie i wybuliwszy 6 zł 50 gr, poddał zapalniczkę ocłeniu. Fakt ten i bezdenna naiwność czynu, pogrążyły go potem w odmęcie rozpacz, zwłaszcza gdy dzielni towarzysze podśmiewali się z jego głupiej uczciwości i kpili na potęgę przez całą drogę.

Cała droga obfitowała w momenty wesołe. Każda chwila nieomal przynosiła jakiś nowy «kawał» i wydarzenie.

Współtowarzysze moi, zakupiwszy w Padwie całkiem pękaty gąsiorek w koszyku, przywiązali go do lampy na sznurku. Systematycznie i nieustępliwie wypróżniali jego zawartość. Spili się haniebnie. Fatalne następstwa a mianowicie okropny wygląd ich twarzy i gruntowne zanieczyszczenie przedziału można było stwierdzić z aż nadto jaskrawą wyrazistością nazajutrz.

— Czy Pan nie zechciałby podać bliższych szczegółów o tych szlachetnych młodzianach? — zapytałem całkiem poważnie.

Jerzy spojrzął na mnie ironicznie, parsknął śmiechem i zaczął: — Owi młodzieńcy, zaprezentowawszy się z początku z werwą i szarmancją, objęli przedział w niepodzielne władanie. Zrobili komunę żywnościową t.zn. każdą znalezioną i zarekwirowaną, czy też zdobytą rzecz badali gruntownie (doszli w tym do zadziwiającej precyzji — zwłaszcza po kilkakrotnym kupnie na dworcach zepsutych specyjałów w torebkach) i ze znanstwem orzekali czy dany obiekt wart jest jedzenia. — (O ile nie, momentalnie leciał za okno).

Pogardliwie traktowali młodszych gimnazjalnych kolegów, otwarcie się nimi posługiwali, w końcu gdy nadeszła pierwsza noc wyrzucili pętków z przedziału i porozciągali się na ławkach. Niektórzy z nich powłazili na półki. Prędko jednak zdrętwieli i klnąc głośno, szybko pozłazili... Na gwałt poczęli palić papierosy, a gdy przedział zasnuł się szarym oparem — nie otwierali okien, lecz w stanie całkowitego zadowolenia z samych siebie i kompletnego błogostanu poukładali się pokodem — tym razem na podłodze. O spaniu, rzecz oczywista, nie mogło być mowy — przeszkadzała ciągle trzask zamykanych drzwi, nieustanny krzyk pokrzywdzonych malców — chłodziły mroźne powiewy, płynące z rozwartych okien korytarza.

Właśnie przejeżdżaliśmy Alpy.

Cały pociąg przywarł do okien. Gdzie niegdzie migotały drobne światełka. Poza tym nie było widać nic. Jednak podniosły i uroczysty nastrój nie opuszczał zebranych. Głośno komentowano każdy godny zainteresowania szczegół, a gdy zbliżał się tunel donośnymi okrzykami dawano znać w całym pociągu. Zatrzasکیwano okna i wpadaliśmy w ciemną czeluść. Potem następowało to samo od początku z drobnymi lokalnymi odmianami.

Nie byle co! Alpy! A do tego «większa połowa» podróży przejeżdżała je po raz pierwszy.

Tak mniej więcej w krótkim streszczeniu wyglądała nasza podróż.

Wywiad miał się ku końcowi. Było późno.

Jerzy śpieszył się do domu, aby odrabiać zaległą pracę szkolną. Wracała najzwyczajniejsza, codzienna proza.

Zamazywał się i ginął rzymski epos — i żeby nie zaginął całkowicie — tych parę relacji naocznego świadka wyżej wymienionych wydarzeń, umieszczam.

«Za naszą ziemickę świętą».

(Opowiadanie góralskie).

(Dokończenie).

Wtem odezwał się Staszek — «Józek ostań se tu na chwilę, a ja skocę na halę do dowódcy zameldować i odnieść te papiery, może być ważne». «Ja tu nie останę! Widzis Stasiu, ja ni mogę. Jo polece do dowódcy» — odpowiedział w zakłopotaniu Józek. «Ale z ciebie baba i to żołnierz. — Włóściwie to moja służba, a twój «frei». Leć. Weźże te mapy i hań te papierki. A uważuj, cobys nie zbłądził». «Dobrze, dobrze deje» — wsunął papiery w zanadrze i ruszył. Ciężko było iść, bo śnieg duży, a na nartach tylko za dnia jeździli. Choć śnieg przestał sypać, chmury zalegały niebo. Ciemno było iść i straszno. Wszędzie Józek widział twarze zabitych Czechów. Każdy krzaczek to oni. A szczególnie ten z roztrzaskaną głową. «Boże, Boże» — szeptał i zaczynał wtedy biec, aż do zmęczenia. Dopadł wtedy do drogi, która schodziła na halę. Jeszcze tylko przez zagajnik i już.

Wtem huknęło przed nim.

«Stój! Kto idzie»!?

«Swoj!» odpowiedział, podał hasło i zapytał «To ty Kuba?» «Jo! Józek słysałeś ktosi strzelał». «Dyc to przecie jo». «Ty? Kaz?» «Hań przy gminnym lesie na turnickach. Czterech Czechów było. Chcieli przejść. Dwóch.... kaput». «Na śmierć?» «Mhm. — Ale idę już. Muse zameldować dowódcy. A i jakiesi papiry mieli, mom je». «Wis ze dowódca tez słysał twoje strzały. Wysłał Wojtka Chotarskiego i Władka z Polanki, ale myśleli ze to w Cornym Żlebk u hań tam polecili».

«To źle psiakrew. Ide».

«Czołem!» «Cześć» — Józek pobiegł pędem.

Po chwili był w izbie. Przy stole, pochylony nad jakimiś papierami siedział starszy mężczyzna, ubrany w zielony wojskowy płaszcz. Gdy drzwi skrzypnęły, odwrócił głowę, Józiek stanął na baczność i zameldował o zajściu. Dowódca wstał. «To wyście strzelali? Gdzie?» — zapytał. «Na turnickach kole gmińskiego lasu». «Jak było?» Józiek opowiedział wszystko dokładnie. Dowódca wysłuchawszy sprawozdania Józka otworzył drzwi do sąsiedniej izby i krzyknął: «Chłopcy wstawać! Zbiórka!» Po chwili izba wypełniła się postaciami chłopców młodych, ale silnych. Każdy z nich miał karabin, ten austriacki, ten niemiecki, a tamten znów francuski. Drużynowy zameldował. Było osiemnastu. Dowódca opowiedział o zajściu, które miał Józiek. Wszyscy oczywiście patrzyli na Józka, który stał zakłopotany w kącie izby.

«Otóż prawdopodobnie dziś w nocy będą chcieli przejść Czesi w kilku punktach na raz. To był pewnie wywiad głównej siły. Dobrze ich Stopka przyjął. Ale trzeba koniecznie wzmocnić czujki. Jasiek Kulów i Franek Bogdański wezmą sześciu i pójdą do Staszka Bachledów, co jest przy zabitych. Przetrząśnicie gmiński las, a tych zabitych to już jutro znieśliemy. Odmaszeruj! Rozkaz!» Ośmiu wyszło. Reszcie wyznaczał placówki. Jędrzek z Wojtkiem tu. Staszek z Bronkiem w Suchy Regiel itd. Aż w izbie został sam z Józkiem. Przeglądał znalezione przy Czechach papiery. «Pójdziecie pewnie spać, dobrzeście się spisali». «Tak nijak ni można inaczej». Przesli by?» «Szli na pewnego. Ale wy macie dobry słuch. No idziecie już. Dobranoc». Ale Józek jakoś nie kwapił się do wyjścia. «No czemu nie idziecie?» zapytał zdziwiony dowódca, patrząc na zbłądłą twarz Józka. «Ja ich ponie sierżancie... zobitém!» — powiedział drżąc. «Wiem przecież o tym... aha... Stopka! przecież to wojna!» — powiedział mocnym głosem. «Jo wiem ale... tak blisko... w nocy... z lasu wysli... nie widzieli» — przerwał — «Moze Pon Bóg?»... zapytał z przestachem w głosie. Dowódca położył mu rękę na ramieniu i popatrzył w oczy — «Przecież walczyście o Ojczyznę, o wolną Polskę, o naszą ziemię świętą. Oni nam ją chcieli zabrać, oni tu przyszli!» Józek jakby się uśmiechnął: «Tak to za nasom ziemickę świętą».

Wyszedł spokojny.

Jot—Er kl. IV-b.

Napad łodzi torpedowych na Kronsztad.

Z. Umiastoskiego «Ludzie morza i ludzie przestrzeni».

W związku z budową przez L.K.M. ścigaczy, warto by wspomnieć o działaniu łodzi torpedowych na Bałtyku w czasie Wielkiej Wojny.

W czasie walk floty angielskiej z bolszewikami, dokonali Anglicy za pomocą niewielkich łodzi motorowych niezwykle śmiałego napadu na flotę czerwoną w porcie Kronsztadzkim. Łodzie torpedowe, zwane przez Anglików C. M. B. (coastal motor boats) posiadały wyporność około 5-ciu tonn i szybkość dochodzącą do 75 km/godz. Uzbrojone były one w torpedę i ciężki karabin maszynowy.

W nocy z 17/18 sierpnia 1919 r. o godzinie 3.45 rozległ się w porcie alarm lotniczy. Ryknęły działa i karabiny obrony przeciwlotniczej. Na port posypał się grad bomb. Atak samolotów był bardziej natarczywy niż kiedykolwiek.

Pomimo to kanonierzy strażniczego torpedowca «Gawrił» zdążyli w czas spostrzec pędzące w kurzawie piany cztery angielskie łodzie torpedowe. Jedna z C. M. B. rzuciła w okręt strażniczy torpedę, lecz ta przemknęła pod spodem okrętu. i wybuchła na nadbrzeżu, Jednocześnie pocisk Gawriła trafia w nią. Zapalona benzyna tworzy krwawą pochodnię, rozświetlając wejście do portu. Pozostałe C. M. B. wdarły się do portu i siekąc zdumione załogi rżęsim deszczem kul, zatoczyły błyskawiczny łuk i rzuciły swe torpedy. Jedna z nich trafia w stary krążownik (macierz nurkowców) Pomiat' Azowa, druga zatapia pancernik «Andrej Pierwozwannyj» trzecia przechodzi tuż za burtą pancernika «Petropawłosk».

Oto wrażenia jednego z członków załogi storpedowanego «Andreja».

«... gdzieś na prawo za ścianą portu odezwał się wybuch i podniósł się olbrzymi słup wody, a kiedy opadł, to daleko poza nim na wodzie ukazał się równy i wysoki płomień, krwawy jego słup oświecił spokojną toń portu. Nagle wparły się w oczy kominy i maszty «Pomiatu Azowa», sterczące z wody w śmiertelnym pochyleniu, ale zdaniu sobie sprawy, co znaczy to ścisnące serce pochylenie, przeszkodziło trzaskanie niewiadomą skąd wylatujących kul, brzęczących po pancerzu. Dojrzelśmy na wodzie niepojęty a przerażająco bystry w ruchach przedmiot. Wtem trysnął przed oczyma szeroki słup wody, ciężko wzdrygnął się «Andrej», osiadł dziobem w zburzoną falę. Warcząc głucho wdarła się masa wody w wywaloną w burcie dziurę».

Łodzie torpedowe z tą samą niepojętą bystrością z jaką wleciały do portu, pomknęły teraz do wyjścia, podnosząc dziobami syczące kopce piany.

Tymczasem Gawrił, powstrzymawszy trzy dalsze łodzie torpedowe, pragnące się wedrzeć do portu, czekał na powracających śmiałków. Oto łodzie torpedowe wybiegły z wrót portu — lekkie, wąskie, szybkobieżne, rozgorączkowane powodzeniem i zuchwalstwem swego przedsięwzięcia. Wtem słupami wokół nich powstała woda, zagwizdały odłami, zatrzeszczały cienkie

ścianki motorówek, buchnęła benzyna, i zaczerwieniły się wysoko skaczące płomienie. Zapłonęły jak stosy dwie motorówki. Mimo, że pozostałe cztery łodzie, zdołały ująć spod ognia dział «Gawriła», niebezpieczeństwo nie minęło.

Trzeba było wracać. Wyjście z zatoki zostało oświetlone przez reflektory nadbrzeżnego fortu. I to jeden z lotników przyszedł łodziom z pomocą. Obsługa reflektorów nie mogła się oprzeć chęci oświetlenia samolotu, który zniżywszy i wszedłszy w smugę światła nagle zaczął się podnosić. Skorzystały z tego łodzie i przemknęły szczęśliwie pod lufami dział fortu.

J. K.

DZIAŁ KOŁA GEOGRAFICZNO-KRAJOZNAWCZEGO.

Polacy w Stanach Zjednoczonych A. P.

Emigracja polska w Stanach Zjednoczonych cieszy się pięknymi tradycjami z czasów Kościuszki i Pułaskiego. W czasach niewoli i wtedy, gdy dla Polaków chleba w ojczyźnie brakło, setki tysięcy emigrantów tam wędrowało. Lecz w tym nowym, tworzącym się ze skrzyżowania różnych narodów społeczeństwie, rodacy nasi nie zginęli: zorganizowali się, pracując wspólnie z Amerykanami, nie zrywając z polskimi tradycjami.

Stany Zjednoczone skupiają prawie 50% Polonii Zagranicznej (4.000.000. ludzi). W samym Chicago jest 500.000 Polaków, to znaczy dwa razy więcej niż w Poznaniu, prawie tylu, co w Łodzi! Polonia w Detroit ma 300.000 członków (tyle, co Lwów), w Buffalo-d: 200.000. Nie jedną Warszawę i nie jeden Kraków posiada Nowy Świat.

Niezmiernie ważnym czynnikiem utrzymania polskości w Ameryce jest szkolnictwo elementarne. Ciężar ten wzięty na siebie parafie polskie już pięćdziesiąt lat temu. Dziś liczba ich wynosi ok. 600. Skupiają one 300.000 dzieci — prawie 35% młodych Polaków w wieku szkolnym.

Szkoły parafialne są własnością parafii. Stroną organizacyjną zajmują się księża. Rolę nauczycieli spełniają po większej części zakonnice (SS. Felicjanki i Nazaretanki).

Szkolnictwo doksztalcające ma 20 tys. uczniów (szk. powsz.). Poza tym istnieje 40 polskich średnich zakładów naukowych (prowadzonych przez parafie lub zakony), 7 seminariów duchownych, 12 nowicjatów żeńskich, 3 seminaria nauczycielskie, 6 kolegiów. Polacy w szkołach amerykańskich organizują się w kluby Polskie.

Najpotężniejsze organizacje to: Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Kat., Harcerstwo; 15 dzienników, 60 tygodników stoi na straży mowy i tradycji polskich.

Zamczysko w Puszczy Kampinoskiej.

Droga do Zamczyska — trzeba przyznać — nie jest łatwa: na szosie w wielu miejscach «kocie łby», a potem wąskie ścieżki między drzewami, miejscami piachy. Ale rowerem «na balonach» można śmiało jechać.

Trasa prowadzi przez Stare Babice z zabytkowym kościołem, Borzęcin Duży, Zaborów i Leszno. Od Leszna już tylko ścieżki prowadzą na północ.

Grodzisko przedhistoryczne dobrze się zachowało. Leży na skraju puszczy, na miejscu obronnym. Na południe rozciągają się błotniste łąki.

Miejsce to, choć kryje dla archeologa skarby bezcenne, nie jest jeszcze zbadane. Sądząc po kształcie pochodzi Zamczysko z X w. Można więc sądzić, że istniała tu duża osada, starsza znacznie od Warszawy, Sochaczewa i Czerska. Bez wątpienia w związku z życiem, które tu rozwijało się w X i XI w. pozostają stare monety odkopane w Kaskach i Teresinie.

Wielokrotnie zwracano już uwagę na ten zabytek czasów legendarnych. Już pisał o nim prof. Jakimowicz. Wkrótce Zamczysko odkryje przed nami swą historię.

Dziś warto jeszcze zwiedzić grodzisko. Jest ono jedyne w okolicach stolicy.

B. M.

Piotr Stachiewicz.

Owoce świetnego pędzla Piotra Stachiewicza przemawiały do nas od najwcześniejszego dzieciństwa. Nie znając jeszcze, że to praca, talent, przeżycia i duchowe nastawienie pewnego człowieka stworzyły te obrazy — legendy i ilustracje, przyjmowaliśmy je jako obrazy niezależne od żadnego malarza; przyjmowaliśmy je jako symbole osób i faktów, które właśnie były i są bezwarunkowo takie, a nie inne — takie, jakimi stworzył je Stachiewicz.

Czar najtkliwszego uczucia i serdecznej poezji owiewa cykl jego kartonów «Legenda o Matce Boskiej». Promiennosc zwiewnej postaci Matki Boskiej, ramiona i ręce Jej, wyrażające tkliwość i obronę najświętszą, miłość macierzyńską najdoskonalszą; czar mlecznej drogi, po której stąpa z Dzieciątkiem w ramionach; niebieskawy zmrok lutowej nocy, śnieg, w którym roztapiają się fałdy Jej długich szat, czerwone płomienie kopcającej gromnicy — wszystkie te obrazy — legendy są znane szerokiemu ogółowi.

Ilustracje Stachiewicza do Trylogii, Quo Vadis, Rodziny Połanieckich, Hani Sienkiewicza są tak świetne, że przekonani

jesteśmy, że wszyscy bohaterowie tych dzieł nie mogą wyglądać inaczej, niż na jego ilustracjach.

Te ilustracje Stachiewicza weszły w naszą krew tak samo jak dzieła Sienkiewicza.

Podstawową tezę malarstwa Stachiewicza było idealizowanie świata i ludzkich uczuć. Przez delikatny welon bajkowości spoglądał on na świat.

Był przedstawicielem starszego pokolenia artystów.

S.p. Piotr Stachiewicz zmarł w Krakowie 14 kwietnia przeżywszy lat 80.

W. Stankiewicz.

Górnicy.

Było to w Borystawiu. Zwiedzaliśmy kopalnie wosku ziemnego. Duże windy, jakby złowrogim rozkazem niesione przelatywały przed naszymi oczami tam i z powrotem. Jedna opadała gdzieś w otchłań, druga wyrzucała na powierzchnię ziemi wydarty jej wnętrzu wosk. Ogarnęło nas jakieś dziwne przynębianie. Uświadomiliśmy sobie, że tam gdzieś w głębokości przeszło 150 metrów pracują ludzie, że to ich ręce wysyłają owoc ich żmudnej pracy na powierzchnię.

Właśnie, gdy kierownicy naszej wycieczki załatwiali formalności w sprawie dalszego zwiedzania kopalni, tymi samymi windami powracali z podziemi górnicy. Zapanowała głucha cisza. Kilka postaci ludzkich, szarych, bladych, pożółkłych i wynędzniałych wyszło na ulicę. Wyszli zamyśleni, nie zauważywszy nas nawet. Poszli powitać rodzinę.

Był ich jest twardy i jakże odmienny od losu innych ludzi. Każdego dnia wyrzekają się na osiem godzin własnej rodziny i wolności, złotych promieni słońca, wyrzekają się radości życia na ziemi. Mimo największych pragnień nie dane im jest zobaczyć wówczas ani złocistych pól, ani zielonych łąk, usianych kwieciami. Miejsce tych przyjemności zajmuje złowrogi huk i zgrzyt rozrywanej dżaganem ziemi oraz cicha rezygnacja górnika: «a może nie wrócę już...?»

Tyle cierpień, gdzież jest uznanie jego trudów, gdzie poszanowanie pracy fizycznej. Tego u nas zawsze brak jeszcze. Pamiętajmy więc, że praca rąk to droga do potęgi!

A. Mitraszewski.

Złota Orda.

Fragment opowiadania.

Już puste były wioski. Dogasały zgliszcza. Pola były puste i zniszczone, spalone. Od strony wschodniej na niebie świeciła krwawa łuna.

Panowała martwa cisza. Żaden ptak nie krzyczał, żaden owad nie brzęczał w powietrzu, nawet wiatr milczał. W żałobnym milczeniu nie drgnęła nawet sucha gałązka na drzewie.

Był to pamiętny krwawy rok 1241. Ogromne państwo tatarskie podbiło już Chiny, Persję. Okrutny Tutszy i syn jego — Batu - chan wyruszyli na podbój Europy. Już Pejdan na czele Złotej Ordy pustoszył ziemie polskie. Zdawało się, że nic tej potęgi nie wstrzyma. Sunęli na zachód, na Europę.

Smutno wyglądały czarne zgliszcza kościoła. Obok, pod kościelnymi murami leżały krzyże na zgniecionych, zoranych kopytami konскими mogiłach cmentarza. W czarnych dołach, w rozkopanej ziemi bieleły się ludzkie kości.

Od strony wschodniej na małym, rączym koniu pędził Tatar. Wzrost miał mały, skośne oczy, wzrok dziki.

Jechał przez polanę. Mijając cmentarz wstrzymał na chwilę konia i spojrzał w otwarte mogiły. Lecz krótko to trwało. Znow pognął konia i szybciej popędził. Twarz miał wciąż obojętną, bezduszną, dziką.

* * *

Na krwawym tle nieba czerwienił się samotny krzyż. Wyciągał ramiona ponad spalone pola. W blasku pożarów mieniła się bolesna twarz Zbawiciela.

Jechał oddział Tatarów. Sam chan był na czele. Zatrzymali się pod wzgórzem. Chan naradzał się czas jakiś z Tatarami.

— San tu zostanie. Stój i czekaj rozkazu! — rzucił głośno.

Spośród szarej gromady wysunął się młody żołnierz wschodni. Wjechał za górę, zbliżył się do krzyża i krzywą szablą ciął figurę Zbawiciela. Krzyż zadrżał i pochylił się.

Lecz ręka Tatarowi drgnęła. Dziwny niepokój nim szarpnął. Wspomniął, jak w jasyr przez ojca uprowadzony niewolnik opowiadał długo jemu — dziecku wtedy jeszcze, o wielkim Bogu, którego na krzyżu chciano zabić. Dreszcz go przejął.

Tatarzy oddalili się pospiesznie. San pozostał na wzgórzu targany dziwnym niepokojem nad przewróconym krzyżem, pod zniszczoną przez niego figurą Boga, przed którym, czuł niewytłumaczony strach. To nieokreślone, nieznanie mu uczucie denrowało Tatara.

Odwrócił się i spojrzał za siebie. Po raz pierwszy może w życiu zbladł i struchlał: przewrócony przez niego krzyż stał

na dawnym miejscu, zdawał mu się tylko wznioślejszym i piękniejszym. Tylko na piersiach Zbawiciela dojrzał długą bliznę, ślad szabli jego.

San zakrył oczy, przytulił się do grzywy końskiej i pognął na ślepo przed siebie, byle dalej od miejsca; w którym pierwszy raz groza go przejęła. Zdawało mu się, że go tu gnała jakaś nieznana potęga, że dłoń straszna go chwyciła. Więc poganiał wciąż konia i pędził jak wiatr...

ODPOWIEDŹ NA ZADANIE FIZYCZNE NR 2.

Czy lewar może działać w próżni.

Przed udzieleniem odpowiedzi należy rozpatrzyć co nazywamy lewarem.

«Lewar jest to rura zgięta pod kątem ostrym, w ten sposób, aby tworzyła dwa nierównej długości ramiona. Służy do podnoszenia i wylewania płynów ponad brzegi naczyń, nieruchomo stojących. — Odbywa się to pod wpływem ciśnienia atmosferycznego. Jeżeli krótsze ramię lewara zanurzymy w naczyniu, a przez ujście dłuższego ramienia wessamy płyn do lewara, to wytworzymy dwa słupy nierównej długości: krótszy — od poziomu cieczy w naczyniu do najwyższego punktu przebiegania lewara i dłuższy od tegoż punktu do ujścia. Ciśnienie atmosferyczne, działające na obydwie słupy z jednakową siłą, znajduje mniejszą przeciwwagę w słupie krótszym, wobec czego wypycha ciecz ku górze, wskutek czego następuje przelew. **Lewarem można podnosić ciecz ponad brzeg naczynia tylko do wysokości — równoważącej ciśnienie atmosferyczne, to jest do 760 mm dla Hg a 10 m dla wody».** (Encyklopedia Gutenberga t. 9 str. 68).

Ponieważ siła, pod wpływem której następuje przepływ cieczy, jest siłą ciężkości powietrza (lub gazu w atmosferze znajduje się naczynie z lewarem to **z chwilą wypompowania powietrza (gazu) zmniejsza się masa powietrza ($F=mg$) siła maleje, aż przy wartości $m=0$ (próżnia idealna) siła równa się też zeru. Wskutek tego lewar w próżni działać nie może.** Nasuwa się tylko pytanie jak osiągnąć próżnię w naczyniu zawierającym zbiornik cieczy i lewar, gdyż przestrzeń ta będzie zawierała parę.

J. Krzymuski.

Odpowiedź redakcji:

W odpowiedzi autor zwraca jedynie uwagę na rolę ciśnienia atmosferycznego, pomija natomiast znaczenie sił spójności w cieczy. Podobnie, jak dłuższa (a więc cięższa) część sznura na bloku ciągnie krótszą, tak i dłuższy (cięższy) słup cieczy w lewarze przeciągnie słup krótszy bez udziału ciśnienia atmosferycznego. (Patrz: Pohle «Wstęp do mechaniki i akustyki», Grinische «Kurs fizyki» t. I).

Zagadka fizyczna nr 3.

Czy można przelewać gazy za pomocą lewara i jeżeli tak, to jaka winna być jego budowa?

Odpowiedzi należy składać na ręce Redakcji do dn. 15. VI.

Z LISTÓW DO REDAKCJI.

Szanowna Redakcjo.

List mój nie jest bynajmniej wyrazem tak częstej manii krytykowania wszystkich i wszystkiego. Chciałem po prostu zwrócić uwagę sz. Redakcji na niedociągnięcie, czy też przeoczenie jakie miało miejsce w numerze z dn. 1. V. b. r.

Przeczytawszy cały niemal numer «Promienia», wypełniony całkiem zresztą niezłymi, a nieraz zupełnie dobrymi artykułami, dojrzałem wreszcie do rubryki humoru. Czytałem nieraz kawały, ale z takim zastraszającym brakiem poczucia dowcipu nie zetknąłem się jeszcze nigdy. Nie dziwię się zresztą autorowi (wzgl. autorom) rubryki «Humor», ale redakcji, która zamieściła te, że użyję oklepanego zwrotu «wysiłki» młodocianego «figielmana». Przecież doprawdy nie będzie przesadnym twierdzenie, że najlepszym dowcipem z ostatniej strony jest... sprostowanie, umieszczone sądzę, że bynajmniej nie gwoździ zadowolenia i rozśmieszenia czytelników.

Na zakończenie udzielę jeszcze rady temu co ten «Humor» «popęłnił». Radzę mu, aby zafundował sobie, «za jedne 50 groszy» kalendarz, a znajdzie tam niewątpliwie materiał do swych «humorystycznych» elaboratów.

Dziękuję z góry za umieszczenie niniejszego listu na łamach poczytnego pisma Sz. Panów, łączę wyrazy szacunku.

Z. M-ski.

Panu Dyrektorowi, p. prof. Ratyńskiemu, p. prof. Karpowiczowi oraz p. prof. Teskiemu dziękujemy za cenne wskazówki w redagowaniu pisemka.

Zjednoczeniu Koleżeńskiemu dziękujemy za udzielone nam subsydium.

Redakcja

Wydawcy: Uczniowie Gimnazjum Im. T. Czackiego.

Redakcja: Mitraszewski kl. I liceum, Stankiewicz kl. I liceum, J. Szomański kl. IV A, Brumer kl. III.

Komitet redakcyjny: Jaśkiewicz kl. I liceum, Sobkowicz kl. I liceum, Marczuk kl. IV A, Mioduszewski kl. IV A, Trzebiński kl. IV A, Gonerko kl. IV A, Izdebski kl. IV B, Uzdowski kl. IV A, Rybiński kl. IV B, Sobański kl. IV B, Makowski kl. III, Tyrawski kl. III, Balasiewicz kl. II, Trocewicz kl. II.

Administracja: Kaper kl. I liceum, Likiernik kl. III.

Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Kapucyńska 21.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37.

